



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



FOKI.

W przeszłym wieku koło cieśniny Behrynga, żyły według świadectw ówczesnych podróżników, olbrzymie foki, które przedstawia nam dołączona rycina. Zwykle foki liczą

długości trzy łokcie najwyżej, tymczasem ów potwór osiągał podobno ośmiu metrów długości. Z ryciny widzimy też, że różnił się od foki długością szyi oraz pyską, zresztą innych zmian w budowie anatomicznej nie zauważono; widzimy u niej tak jak u foki przednie członki krótsze, połączone błoną, oraz tylne, które kształtem swoim zupełnie pletwy przypominają i każą zwierzęta owe zaliczyć do rzędu pletwonogich.

Olbrzymie foki, tępione gromadami, wyginęły wraz z tylu innymi zwierzętami, które nieopatrzny i chciwy zysku człowiek zgładził z powierzchni ziemi; ciała pletwonogich bowiem dostarczają skór i tłuszczu używanego w przemyśle, a rodzina Morsów opatrzona olbrzymimi kłami oprócz tego dostarcza kości również cenionej.

Pletwonogie z trudnością wielką poruszają się po ziemi, za to pływają wybornie, to też żyją tylko koło wybrzeży morskich, a sposób ich życia pozwala też nazwać je zwierzętami ziemnowodnymi.

Półw zaś fok dziś się pojawiających w morzu Behrynga około półwyspu Ałaski, stał się od lat dwóch przedmiotem rozgłosnego sporu pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Na zasadzie posiadania Ałaski, Stany Zjednoczone roszczą sobie specjalne prawa do morza Behrynga, tak zwanego od nazwiska zmarłego w r. 1742 na wyspie, niedaleko Kamczatki podróżnika, który odkrył cieśninę oddzielającą Azyę od Ameryki. W r. 1749 Ałaska będąca prowincją ruską, oddana została kompanii rusko-amerykańskiej, dzierżawiającej prawo polowania na Ałasce, Kamczatce i kilku jeszcze okolicach Syberii północnej. W skutek tego handel futrami rozwinął się w Ameryce ruskiej. Po kilkudziesięciu jednak latach, bogactwa te zaczęły się wyczerpywać, a w r. 1867 Ałaska odstąpiona została przez Rosję Stanom Zjednoczonym za cenę 7,200,000 dolarów.

Przez całe siedm miesięcy w roku Ałaska pokryta jest śniegiem i lodem, w lecie wszakże lasy jęj pokrywają się zie-



lonością, a na skałach wpośród błyszczących od promieni słonecznych lodowców, mchy również zielone przybierają barwy. Nieliczni mieszkańcy nad brzegiem morza należą do rasy Indyan, zamieszkującej skaliste góry i amerykańskie prerie, z tą różnicą, że żywią się rybami i żyją na morzu, podczas gdy ich bracia jedzą mięso i spędzają znaczniejszą część życia na koniu. Handel cały ogranicza się na futrach.

Specyalnością Ałaski są drogie i wysoko w handlu cenione futra wydr morskich. Zwierząt tych zabijają do czterech tysięcy sztuk rocznie na morzu i na skałach morskich. Na otwartym morzu koło wysp aleuckich polują też czasem na wieloryby. W ogóle jednak północne strony Ałaski różnią się znacznie od okolic, położonych bliżej oceanu Spokojnego. Najważniejszą atoli kwestyą, dającą powód do obecnego międzynarodowego sporu, są miliony fok, dostarczających futer, stanowiących jedyną wielką sprawę handlową tych stron, a jak dzisiaj, będących przedmiotem zazdrości Anglii i Ameryki.

Na morzu Behrynga, w odległości około trzystu wiorst tak od wysp Aleuckich, jak i od wybrzeża Ałaski, znajdują się Przybyłowskie wyspy, zamieszkane przez foki, które rok rocznie, w cieplej porze zjawiają się w nadzwyczajnej ilości. Chodzi tu mianowicie o wyborowy gatunek fok posiadających piękne futro, a ukazujących się około wysp Przybyłowskich pomiędzy miesiącami majem i grudniem. Podczas innych miesięcy pływają one w wodach południowych, w oceanie Spokojnym i dochodzą aż do Japonii i Kalifornii. Zwyczaje tych zwierząt są bardzo ciekawe. Między 1 a 15 maja ukazują się pierwsze foki na pobrzeżach wysp Przybyłowskich i zaraz wychodzą z morza, aby zająć posterunki wzdłuż skał i brzegów. Są to samce i to najsilniejsze, najśmielsze, wybierające najlepsze schronienie, które mają służyć przez cały sezon nietylko im samym, ale i całej ich rodzinie. Przez cały maj i pierwsze dziesięć dni czerwca przybywają nieustannie samce, bardzo wojowniczo usposobione. Te, które pierwsze nadpłynęły, zajmują najlepsze miejsca nad morzem, nie bez walk naturalnie, gdyż nadchodzące później starają się zepchnąć pierwszych. Toczą się więc gwałtowne walki. Około 12-go czerwca zaczynają nadpływać samice coraz liczniej do polowy lipca.

Jednocześnie z pierwszym ukazaniem się samicy objawia się znowu ruch pomiędzy samcami. Najenergiczniejsze z nich idą naprzeciwko przybyłych towarzyszek, które wprowadzają do przygotowanych dla nich mieszkań i odtąd stanowią już jedną zgodną rodzinę. Gdy przybywają młode foki, samce które od czasu jak wylądowały nie wiele jadły, rzucają się w wodę, szukając pożywienia; czasem niektóre z nich wracają czasem już się wcale nie pokazują. Odwrot ojców rodzin jest hasłem ogólnego nieporządku, nawet młode wchodzą i próbują pływać. Niektóre samce słabsze od innych, które nie umiały sobie zdobyć oddzielnego stanowiska w kolonii, i są przez to wykluczone z kółek rodzinnych, mieszają się także wtedy pomiędzy samice i młode i razem odpływają.

Całe to mnóstwo fok około wysp Przybyłowskich wynosiło do niedawna około cztery i pół miliona sztuk. We wrześniu i listopadzie wracają one do morza, aby odpłynąć i nie powrócić aż na przyszłe lato.

Polowanie na foki tak jest dziś z organizowaniem, że krajowcy, pozostający na żółdzie kompanii, zabijają tylko słabszych samców samotników. Poznać je łatwo stąd że tworząc oso-

byne oddziały w czerwcu i w lipcu spoczywają spokojnie nad morzem, krajowcy skradają się wtedy od strony wody i z krzykiem budzą uśpione zwierzęta. Foki widząc się odciętemi od morza, nadzwyczaj spokojnie maszerują same w kolumnach, cofając się do środka lądu, a wtedy 4 czy 5 krajowców pędzi z krzykami, zastraszone kilkudziesięczne ich stado. Skoro dojdą do miejsca przeznaczonego na rzeź dzielą je na małe oddziały, z których wybierają najładniejsze, a resztę pędzą napowrót do morza; pozostałe zabijają pałkami drewnianymi, obdzierają na miejscu ze skór które po posypaniu solą, ładują na okręty kompanii z przeznaczeniem wysłania do Londynu gdzie umieją najlepiej wyprawić futra.

Towarzystwo dzierżawiące wyspy Przybyłowskie od Stanów Zjednoczonych, miało sobie położone za warunek niezabijania więcej jak sto tysięcy fok rocznie. Pomimo tego liczba fok maleje z każdym rokiem, tak, iż w r. 1890 Towarzystwo doszło zaledwie do trzeciej części tej liczby. Amerykanie podają jako jedną z głównych przyczyn tego ubytku — polowanie, jakie uprawiają na morzu okręty kupieckie amerykańskie i sąsiednich kolonii angielskich, w czasie chowu młodych, kiedy samice za pożywieniem płyną czasem 5 — 7 mil w morze. Giną wtedy samce i samice. Dla tego też rząd Stanów Zjednoczonych czuje się upoważnionym do zaprowadzenia specyalnej policyi, z dążnością do ustanowienia dla siebie prawa wyłącznego polowania na całym obszarze morza Berynga. Ztąd poszła sprawa, którą ma rozstrzygnąć sąd polubowny po zbadaniu rzeczy na miejscu, przez delegowanych rządu angielskiego. Tymczasem na mocy świeżo zawartego układu między Stanami Zjednoczonymi północnej Ameryki, a Wielką Brytanią, połów fok do maja 1892 r. będzie w zupełności zabroniony.

PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

— Nie krzycz-no, nie krzycz, matuniu — mówił łagodnie. — I zbierz siły abyś mogła pójść za swojemi paniami, które mój pan prowadzi na miejsce osłonięte od tej strasznej wichury.

Wszelako Baucis'a była zupełnie głuchą na perswazyę Gota, który wreszcie ujął ją w muskularne ramiona i poniosł ku wielkiej ucieście Herodyanusa i wszystkich obecnych.

— Pani — rzekł właściciel galery do matrony — pochodzę z bawarskiego miasta Trajectum. Jestem rzymskim rycerzem, nazywam się Kajus Aureliusz Menopius. Dążę do Rzymu aby w tej stolicy świata wzbogacić swój umysł i przez to stać się pożytecznym wielkiej mej ojczyźnie. Czy wolno mi teraz prosić, abyście raczyły mi powiedzieć, kogo przyjazne bóstwa pozwalają mi przyjmować na moim statku?

— Pochodzimy z senatorskiego rodu — rzekła matrona. — Jestem Oktawia, małżonka Tytusa Klaudyusza Mucianusa, arcykapłana Jowiszowego. To dziewczę, to córka moja Klaudya. Od kwietnia przebywamy w Bai dla poratowania mego zdrowia, które też ożywcze powietrze morskie, balsamiczna woń lasów rzeczywiście pokrzepiły. Dziś rano podczas najpiękniejszej pogody i ciszy na morzu wypłynęłyśmy z zamiarem udania się do Procidy; zaskoczyła nas wichura i tylko tobie, szlachetny panie, zawdzięczamy, żeśmy wyszły cało z tej przeprawy. Przyjm jeszcze raz najgorętsze nasze dzięki, i pozwól abyśmy w naszej willi w Bai mogły odplacić za gościnność, której doznajemy na pięknej twojej galeryze.

— Z prawdziwą radością skorzystam z twęgo zaproszenia, o pani! tembardziej, że miałem zamiar dla wypoczynku zatrzymać się dłużej w Bai.

Podczas tęg rozmowy obfite zastawiono śniadanie: ryby, mleko, jaja, owoce, gotowane morskie raki, których korallowe skorupy malowniczo odbijały od srebrnych, artystyczną płaskorzeźbą ozdobionych półmisków.

Aureliusz zaprosił swych gości do stołu. Posadził Oktawię na pierwszym miejscu; przy matce usiadła śliczna Klaudia, gospodarz zajął miejsce naprzeciwko nich, Herodyanus i wciąż jeszcze wystraszona Baucisę usadowili się na drugim końcu stołu, na pewnym od swoich państwa oddaleniu.

— Nie gardź, o pani, skromnym posiłkiem — przemówił gospodarz — i bądź wyrozumiałą, my mieszkańcy północy nie jesteśmy wytwornymi ludźmi...

Oktawia miała krótki wzrok, więc podniosła do oczu ogromny, w złoto oprawny, szlifowany szmaragd, jakich w owych czasach używano zamiast lornetek, i przypatrzwszy się zastawionym na stole potrawom rzekła:

— Przy takiej uczcie, twoje słowa wydają się żartem. Czy zresztą myślisz, że my Rzymianie wszyscy jesteśmy łakotnisiami?

— Tego bynajmniej nie przypuszczałem — odparł Aureliusz i skinął na niewolników, aby podawali potrawy i wonnym miodem napełnili drogocenne czary. Rozmowa toczyła się swobodna, ożywiona, wesół, nagle uderzenia wiosł ucichły, okręt zarzucił kotwicę. Aureliusz znów z prośbą zwrócił się do Oktawii:

— Dostojna pani — rzekł — chcielibyśmy jeszcze moje usługi. My, mieszkańcy północy, rzadko używamy lektyk. Wszelako trzymając się zasady, że rozumny człowiek na każdą okoliczność powinien być przygotowany, posiadam lektyki na mojej galerze.

— Niewolnicy z lektyką na pokładzie oczekują rozkazów — oznajmił Herodyanus.

— Z uprzejmą twoją ofiarą skorzystamy, szlachetny Aureliuszu — rzekła Oktawia, idąc ku drzwiom — a teraz przypominam ci, żeś obiecał być naszym gościem.

— Skoro pani zezwala — odpowiedział, Aureliusz nisko przed matroną i piękną Kładę pochylał głowę.

II.

Otoczona blaskiem czarującej przyrody i przepychu, Baia w pobliżu Neapolu była za świetnych czasów rzymskich ulubioną siedzibą bogaczy całego świata. Na wybrzeżu wrzało uderzając wspaniałością życie. Goście ze wszystkich prowincji olbrzymiego rzymskiego państwa, przejeżdżali się lub przechadzali tutaj na groblach i długich ulicach portowych, wyłożonych płytami lawy. Sygambrzy w czerwonych szatach i kędzierzawi Etyopejczycy we wspaniałych lektykach nosili strojne pane.

Niżej, nad portem rozlegały się krzyki majtków i ogorzałych od wiatrów tragarzy, natarczywie narzucających swoje usługi. Piekarze i przekupnie z owocami donośnym głosem zachęcali do kupna swoich towarów, zachwalając ich woń i smak przewybórny.

Aureliusz zwiedził już kawał świata, podziwiał już Gades i Panormus, jednak obadwa tamte miasta wydawały mu się prawie nędznymi w porównaniu z tęg miejscem kąpielowem, pod względem przepychu, pierwszym w całym ówczesnym świecie. Pałac stał tutaj obok pałacu, willa przy willi, świątynia przy świątyni. Pośród zieleni ogrodów cienistych, i niby gaje wielkich, białeły posągi z paryjskiego marmuru, wznosiły się kolumny, teatru i łaźnie czyli *termy*.

Nasi znajomi od portu zwrócili się nieco w górę. Poprzedzało ich dziesięciu niewolników torujących sobie drogę pośród tłumów. W jednej lektyce niesiono Oktawię, w drugiej Kładę i Baucisę. Herodyanus, Magus, wioślarze i słudzy Oktawii szli pieszko.

Aureliusz na pysznym hiszpańskim koniu jechał, raz po

raz z jakimś pytaniem zwracając się do Oktawii, do Klaudyi, lub wreszcie do Baucisy.

— Nasza willa stoi na samym wierzchołku góry — mówiła Klaudia — tam gdzie dęby królują nad figowemi plantacyami.

— Jakto? — zawołał Aureliusz zdziwiony — ten olbrzymi gmach z filarami?...

— O! nie — rozśmiało się dziewczę — Jowisz nie uposażył nas tak hojnie!

— A czyż własnością jest ten przepyszny pałac?

— Cesarzowej Domicyi, która tu zwykle przepędza lato.

Droga stawała się coraz bardziej stromą, lektykarze zwalniali kroku i porządnie już byli znużeni, zatrzymując się przed willą Oktawii.

Naprzeciw przybyłych wybiegła młoda dziewczyna.

— Matko słodka, najmiłsza moja matusiu! — wołała z najżywszą serdecznością. — Klaudio moja cudna! Węć powróciliście nareszcie! Och! jakżeśmy się o was kłopotali: Kwintus i ja. Szkaradna wichura! Cała zatoka kipiała niby wrzące mleko. Nieprawdaż? Ach! co to za szczęście, żeście przybyli bez szwanku. Kwintusie! Kwintusie!

Z tym okrzykiem wbiegła do domu i jeszcze kilkakrotnie dał się słyszeć srebrzysty, wesół głosik, wołający: Kwintusie! Kwintusie!

— Jest to moja przybrana córka — objaśniła matrona.

— Lucylla — dodała Klaudia — którą kocham jak rodzoną siostrę.

Aureliusz właśnie zeskoczył z konia i podał cugle nieodstępnemu swemu Magusowi, gdy młodzian niezwykle urodę pojawił się na progu. Ujął ręce Oktawii i ucałował je z uszanowaniem i tkliwością, również tklawie uściśnął Kładę.

Przywitawszy matkę i siostrę, niedbałym ruchem zwrócił się ku Aureliuszowi, wzrokiem pytając nieznanomego: „coś ty za jeden?”

Oktawia ręką dała uprzejmy znak gościowi, aby wszedł w głąb domu i wszyscy razem weszli do atrium. Był to kolumnadą otoczony dziedziniec, do którego z ulicy wchodziło się przez „vestibulum” czyli przedsionek. W pośrodku znajdowało się tak zwane „impluvium” to jest sadzawka, dokąd rurami, albo rynnami spływała woda deszczowa. Miękkie wysłane marmurowe ławy zapraszały do spoczynku. Kwintus oczekując wyjaśnień patrzył na matkę, która rzekła:

— Kwintusie, cudzoziemcowi temu szlachetnemu Kajusowi Aureliuszowi Menopnisom, z Traiectum, kraju Batawczków, zawdzięczamy że pozostaliśmy przy życiu. On to wziął nas na pokład swojej galery, gdy nasze czółenka już... już miało zatonać. Ja pozostanę mu wdzięczną na zawsze; a i ty mój synu, mniemam okażesz mu całą uprzejmość i serdeczność, na jaką zasłużył.

Kwintus zbliżył się do Aureliusza i uściśnął go.

— Mam nadzieję, dostojny panie — rzekł z wdzięcznym uśmiechem — że przez czas dłuższy zaszczytisz nasz dom swoją obecnością i pozwolisz, abym z dłużnika stał się twoim przyjaciелеm.

Zjawiła się Lucylla, która na cześć gościa przywdziała bogatsze ubranie i w bujne swe kasztanowate włosy wplotła świeżo rozkwitłą różę. Siadłszy obok Klaudyi ujęła jej dłoń opierając przytem główkę na ramieniu przybranej swęj siostry.

— Opowiadajcież, proszę — rzekł Kwintus — pług niecierpliwością, aby dowiedzieć się wszystkich szczegółów waszego przypadku.

Oktawia zaczęła opowiadać i zanim się spostrzeżono nadeszła godzina posiłku, który zastępował nasze drugie śniadanie lub wczesny obiad.

Zachęcony przez Oktawię, Kajus Aureliusz zaczął nad malowniczo i żywo opowiadać o swęj północnej ojczyźnie, o krajach które zwiedzał, o ludach które widział i poznał, o długich swoich i pełnych niebezpieczeństw podróżach. Iłż to razy w dalekiej północnej krainie przepędzał noce w opuszczonych lepiankach, w małg zaludnionych pustkowiach, gdzie

nikt łacińskiego języka nie rozumiał, gdzie w gęstych borach i nieprzebranych kniejach żubr walczył z niedźwiedziem, gdzie ryk dzikiego zwierza rozlegał się po puszczy, a gęste mgły snuły się wiecznie ponad bagniskami.

To opowiadanie o rzeczach obcych i nieznanych niezmiernie zajmowało słuchaczy.

Następnie kobiety oddaliły się aby podczas południowego skwaru użyć wczasu w chłodnych i zacisznych komnatach.

Ani Kwintus, ani Aureliusz nie mieli ochoty do drzemki. Ostatni z zajęciem spoglądał przez szeroko otwartą bramę na wspaniałe schody, wyszedłszy zaś za próg domu zachwycał się przepysznym widokiem.

Bogata roślinność rozkosznej Kampanii, wydawała się na tem wzgórz zebrałą. Wspaniałe platany winogradem obwite wznosiły się pośród pigw i dębów. Figowe drzewa rosły obok drzew oliwnych. Tam były kępy drzew iglastych, owdzie rozłożyste orzechy obok wysmukłych topoli. A pomiędzy to wszystko wcisnęły się niezliczone masy krzewów i pnących roślin. Bluszcze, powoje i barwinek oplótły olbrzymie drzewa wiotkimi swemi gałązkami. Warkocze Wenery spletały się z laurem i mirtem, obok akantu o liściach sztywnych i kolczastych, jeszcze żywszą barwą jaśniały wonne stulistne róże. Kwintus wsunął poufale rękę pod ramię gościa swego i szli tak środkową, pod górę wiodącą drogą.

— Widzę — rzekł Kwintus — że jesteś miłośnikiem przyrody. To bardzo naturalne, że park bajański cię zachwycił. My Rzymianie strefą Boreaszową nazywamy te chłodne krainy, gdzie zaledwie brzozy i buki się udają. A ty właśnie z tej strefy przybywasz. Lecz dopiero na górze zachwycony będziesz w całej pełni. Wzniesliśmy tam rodzaj małej świątyni, z której rozciąga się nieporównany widok.

— Można wam tych cudów zazdrościć — rzekł Batawczuk. — Czemuż to jednak, czcigodny ojciec twój, Tytus Klaudyusz, nie przepędza lata w tej uroczej posiadłości.

— Jako arcykapłan kapitolńskiego Jowisza jest jak gdyby uwięziony w mieście. Prawo dozwala mu tylko na jedną noc wydalic się z Rzymu, nigdy na dłużej. Widzisz, przyjacielu, służba wolność traci, powiada przysłowie... Tak! nawet i wielkim tego świata nie wszystko idzie według myśli. I leż to razy ojciec mój pragnął chociaż na krótko dla zdrowia i dla wypoczynku wydestać się z hałaśliwej stolicy świata? I nie mógł: żaden z bogów nie pokwapił się zerwać jego więzy!... Niespełnione pragnienia i chęci: — oto czem jest ludzkie życie na tej ziemi! Kwintus westchnął wymawiając te słowa. Kajus Aureliusz spojrział na niego zdziwiony:

— Alboż ty masz jakie niespełnione pragnienia, jakie nieziszczzone nadzieje i chęci?

Na ustach rzymianina ukazał się zagadkowy uśmiech.

— Jeśli myślisz o rzeczach, które się kupuje za pieniądze, naturalnie pod tym względem mam wszystko, lub przynajmniej prawie wszystko, czego zapragnę. Za złoto i srebro można w Rzymie dostać wszystkiego, wszystkiego, prócz lekarstwa przeciw tęsknocie do szczęścia.

— Nie rozumiem cię.

— Zrozumiesz, gdy mię wysłuchasz. Jestem jak widzisz bardzo bogatym i całkiem niezależnym w skutek spuścizny po dziadku, który uczynił mię posiadaczem wielu milionów. Jestem młody, zdrow i swobodny niby ptak, silny jak lew król pustyni, wykształcony we wszystkim, czego młodzieńcowi na mojem stanowisku potrzeba. Dośćby mi było chcieć, a otrzymałbym najwyższe urzędy i zaszczyty: dowództwo pretoryanów, konsulat nawet. Posiadam względy Cezara. Dziewczyna cudna, jak Afrodyta, bogini piękności, jest moją narzeczoną. A jednak... czyś ty nigdy w swem życiu nie zaznał nudy, Aureliuszu?

— Nie, nigdy!

— A ja doświadczaam ję. Często, ach! jakże często wśród najwesołszych towarzyszków jestem smutny; podczas zabawy nagle chwytają mnie straszna tęsknota...

— Za czem?... do czego?...

— Na Jowisza! sam nie wiem!... dość, że mi smutno i tęskno... Umilkli i szli dalej, aż na zakręcie drogi ujrzeli

małą świątynkę, o której wspominał Kwintus. Marmurowe wschody z balustradą obwita zielonością pnących roślin wiodły do krużganku opartego na korynckich marmurowych kolumnach. U podnóża budynku rozciągała się zatoka, nieco dalej Baja z tysiącem swoich pałaców i lasem masztów od okrętów stojących na kotwicy w puteolskim porcie. Poza tem Wezuwiusz ze słupem dymu rozplywającym się w szafirze obłoków, dalej wznosił się kolosalny pałac cesarzowej Domicyi, ocieniony stuletnimi drzewami.

Od zatoki tylko dolatywały tutaj echa głosów ludzkich i ruchu. Zresztą cisza głęboka panowała w okół. Zdawało się, że ani jednej żywej duszy, ani jednego żyjącego stworzenia w pobliżu niema... Nagle dał się słyszeć przytłumiony jęk... Aureliusz zaciekawione spojrzenie zapuścił w głąb ogrodu i wyciągnął rękę:

(d. c. n.)



Trąba powietrzna na lądzie.

TRĄBY POWIETRZNE.

Trąby powietrzne czyli wiry, które nagle powstają i unosząc z sobą drzewa, dachy, waląc domy, wywołują wielkie zniszczenie, nie są jeszcze dostatecznie zbadane, by można jasno wyłożyć teorię ich powstawania. Przypuszczalnie wiry owe wywołuje ścieranie się prądów powietrznych. Wiadomo że powietrze ogrzane rozszerza się i unosi w górę a chłodniejsze jako cięższe opada, stąd idą dwa prądy w dwóch przeciwnych kierunkach. Jeśli w skutek jakichkolwiek przyczyn dla nas dotąd niejasnych, prądy te ścierać się będą silnie w danym punkcie, wówczas powstaje wir który unosi z ziemi całe piramidy piasku, piramidy te wir okręca zwykle śrubowato, aż wreszcie siłą własnej ciężkości opadają one deszczem w okół. Gdy takie wiry powstają na morzu, wówczas unoszą w górę stożkowaty słup wody który w powrotnej drodze zakreśla krzywiznę paraboli. Trąby tak powietrzne jak i wodne, trwają zawsze bardzo krótko, kilka minut zaledwie.

W ubiegłym roku połowa miasta Dreux we Francji uległa zniszczeniu w skutek owego zjawiska.

DWIE WYSTAWY.

Jednocześnie z wystawą w Pradze czeskiej obudzają zajęcie w Moskwie dwie wystawy, na które złożyły się wytwory Europy i Azji. Pierwsza z nich wystawa francuzka gromadzi wszystko, czem pochlubić się może przemysł i rękodzielnictwo tak wysoko we Francji rozwinięte, na drugą zaś azyatycką nadesłała Azja wyroby swoje, uderzające zupełnie odrębnym smakiem, zdumiewające potrzebną do ich wytworzenia sumą pracy.

Na wystawie francuzkiej oglądać można przedewszystkiem klejnoty, arcydzieła smaku, po cenach tak bajecznie wy-



Trąba powietrzna na morzu.

sokich, że niepodobnemi się zdają. Kosztowne te świecidła znajdują jednak chętnych nabywców i rozchodzą się w nader wielkiej ilości; nie brak też amatorów na wspaniałe tkaniny jedwabne, wyrabiane w Lugdunie. Wzorzyste, ciężkie, srebrem lub złotem przetykane, puszyste lub lśniące, miękką spadające draperyą, lub sztywne jak pancerz, nęcą one oko bogactwem i rozmaitością barw delikatnych a mimo to nieporównanie świetnych. Cudownie także pięknymi są wyroby fabryki porcelany, założonej w Sevres jeszcze w połowie XVIII wieku i od pierwszej chwili swego istnienia słynnej z artystycznej doskonałości swoich wyrobów. Cena ich nie jest dostępną dla kieszeni zwykłych śmiertelników, to też porcelana sewrska należy do przedmiotów zbytku i jako taka słusznie ma wyznaczone sobie miejsce na wystawie, która przepychem imponuje i do zbytku zachęca.

Nadesłane z Azji okazy również zbytkownemi są przedmiotami, ale tam zbytek wyrafinowany, artystyczny, tu jaskrawo w oczy bijący. Klejnoty bajecznej wielkości, i w bajecznej nagromadzone liczbie.

Są tam bransolety ułożone z dwóch, a nawet z trzech pasów blachy srebrnej, niezmiernie szerokie, wysadzone krwawnikami wielkimi jak boby. Kolczyki, przynajmniej na ćwierć łokcia długie, także srebrne, składają się z małego trójkątka płaskiego, od którego wiszą, niby frendzla, łańcuszki zakończone strzałkami lub kulkami. Na głowę przepaski najrozmaitsze, niektóre złote, po kilkaset rubli cenione, np. rzad gwiazdek wysadzanych turkusami lub perłami, zakończony frendzelką ze złota i koralików lub perełek. Najoryginalniejsze zaś są talizmany, które się wieszają na szerokich pasach srebrnych, ażurowych i noszą na piersiach. Są to przeważnie czworoboki z blachy srebrnej, złożone, wyrzynane, wysadzone krwawnikami, zdobne z dwóch boków frendzlą długich łańcuszków, zakończonych kulkami. Blacha taka wiesza się naronuskiem pod szyję, a waży zwykle pięć funtów.

Wyroby przemysłu kobiecego, jak materye welniane, odznaczają się niezmierną cienkością tkaniny; wśród nich znajduje się kaszmir, którego sztuka płaci się na miejscu po 40 rs. Materye jedwabne, cieniutkie, pstre, a wąskie na 7 cali, tak są elastyczne, że można je zgnieść i rzucić, a same się wyprostują; aksamity czysto jedwabne, bywają tkane w różnobarwne desenie. Niemniej godne uwagi są wzorzyste hafty zamkniętych w haremach niewiast, szale kaszmirskie po kilka tysięcy rubli kosztujące—tem wszystkim imponuje Azja Europie, a jakkolwiek wyroby jej nie są tak artystycznie wykończone, to jednak gdy pomyślimy, że praca ręczna nie ma tam na swe usługi tak wydoskonalonych narzędzi, to ze zdumieniem spojrzymy na owe, pracowite hafty gęsto różnobarwnemi jedwabiami szyte, a szczególnie na szale, ogólnie znane u nas pod nazwą „tyfteków“.

Każda bogata pani mieć je dawniej musiała w swęj wyprawie; dzisiaj wyszły już z mody, lecz mimo to godne są podziwu. Tkane z najprzedniejszej wełny kóz kaszmirskich na krosnach domowych, przerabiane różnobarwną przędzą w misternie powikłane desenie, dochodzą nieraz ceny kilku tysięcy rubli, co nie wyda się dziwnem, gdy powiem, że najbieglejsza robotnica nie jest w możności utkać na dzień więcej nad kilka cali kwadratowych cieniutkiego tyftekku.

Ogromna sala, cała jest prawie poświęcona etnografii miejscowej. Między okazami budowli znajduje się parę modeli mieszkań krajowców.

Stojące wzdłuż sali figury wielkości naturalnej, dają doskonałe pojęcie o zewnętrznym wyglądzie ludu, który zamieszkuje takie domostwa. Mężczyźni mają twarze śniade, ściągłe, nosy garbate; kobiety przeciwnie, mają twarze szerokie i nosy spłaszczone, podobno jednak są między nimi wyjątki o bardzo pięknych rysach regularnych. Jak jedna, tak druga płęć ubiera się w szlafroki. Kobiety, dla większego stroju, wdziewają ich aż dwa, jeden na drugi, jedwabne lub bawełniane, stosownie do zamożności, a o ile się da jaskrawe; wychodząc z domu, zakrywają twarz gęstą tkaniną z włósem czarnego, a na głowę zarzucają trzeci szlafrok bawełniany, barwy szarej lub ciemnej. Wyglądają w takim okryciu okropnie. Mężczyźni noszą turbany białe lub szafirowe. Widzimy ich tu przy różnych zajęciach. Jeden np. usiadł na ulicy, zdjął turban i położył na kolanach; a drugi stoi nad nim i nożykiem goli mu głowę. Dalej znów ustawiono malutki sklepik w kształcie skrzynki, z jednym bokiem wyjętym, widać w nim dwóch mężczyzn siedzących wśród woreczków z kaszą i zbożem, stosów łyżek drewnianych, rzemieni i okrągłych placek psennych, które sprzedają. W innym podobnym sklepiku kotły na piecu, przy nich jedni gotują pierogi z mięsem, inni znów siedzą na ziemi i po jadło sięgają do miski palcami. Gdzieindziej znów palą opium, gryzą cukierki haszyszowe. Kobiety niektóre występują pojedynczo, inne znów postrojone stoją w kilka wśród izby swojej o malowanych pstrych ścianach i suficie, jedna zaś jedzie na wielbłądzie, siedząc po męsku, na worku wypchanym słomą.

Te i tym podobne okazy budzą większe zajęcie w mieszkańcach cywilizowanego świata, niż znane im powszechnie wytwory francuskiego przemysłu.

PSOTNICE.

KOMEDYJKA W II-ch AKTACH.

p. Zuzannę Morawską.

(Dalszy ciąg).

JÓZIA (*odsuwając otaczających ją*).

Dajcie pokój! niechaj on, jak chce sobie mruczy.
Ja wiem, on zawsze do mnie coś upatrzy sobie,
Ale czekaj mój Stefcio, nie daruję tobie,
Idę zaraz do mamy.

ZOSIA (*wstrzymując ją*).

Józiu! co chcesz robić?!

Twojem pójściem do mamy, chcesz nas obie dobić
Maniusiu!

MANIA.

Nie, doprawdy ja nic nie pojmuję
Czemu Józia się sprzecza, Zosia lamentuje.
Skąd w kajetach chłopczyków, bezprzerastne szkody,
A z tego znów cochwila do kłótni powody.

JÓZIA.

Tylko się w nasze sprawy, proszę cię nie wdawaj,
I milěj, słodkiěj, dobrěj, tak wciąż nie udawaj.
I tak już twoich zalet mam po same uszy,
Bo nam tobą wciąż każdy tylko głowę suszy,
Dając ciągle za przykład. Takaś przemądrzała,
A Zosi choć cię prosi toś rady nie dała.

MANIA.

Moja Józiu, za co ty tak na mnie napadasz?

ZOSIA (*biorąc Manię za rękę*).

Daj pokój moja Maniu, Józi nie przegadasz.
Pójdź lepiej i mnie poradź, jak mamę przeprosić;
Może się da ubłagać, może da uprosić.

MANIA.

Ale o co, i za co, powiedzieciez mi w końcu!

ZOSIA.

Ach mój Boże! ty nie wiesz? toż jasne jak w słońcu,
Ze ja wcale na pensyę iść nie mam ochoty.

JANEK.

Lecz dodaj, że jęj nie masz do żadnej roboty.

STEFICIO.

To zupełnie jak Józia, bo i ta też beczy,
I wymyśla wciąż nowe, niestworzone rzeczy,
Nie chce pensyi, i w domu chce zostać koniecznie.

JÓZIA.

Tak, ciekawam czy miło, siedzieć z książką wiecznie.

STEFICIO.

Zapewne, lepsza piłka, kroket, lub huśtawka,
Lecz i nam przepisywać nie miła zabawka.
A jednak, wyście z Zosią, tak nas urządziły,
I kajety splamiły albo popaliły...

ZOSIA (*biorąc Janka za rękę*).

Ach Janku, przebacz drogi, wyznaję mą winę,
Choć doprawdy mój winy tylko odrobinę,
A cała winą Józi, boć to jęj namowa.

JÓZIA.

A to pięknie! to ślicznie! wymówka gotowa!
Ładnie Zosiu poczynasz, ślicznie się spisujesz!
I słowa raz danego wiernie dotrzymujesz!
Wszakżeśmy się obiedwie razem namówiły,
I braciom naszym wszystkie kajety spaliły,
Aby im tem przeszkodzić, lub choćby dokuczyć.

(*Stefcio jęj grozi, Janek odsuwa go*).

JANEK.

Lecz za co? powiedz proszę...

JÓZIA (*przerywając*).

Bo i nam się uczyć
Wypada także pilnie, jak wy pracowicie,
Bo inaczej wymówki, sygną się sowicie,
Gdy nie zdam egzaminu, a nie zdam na pewno.
I ja nie chcę tój pensyi...

STEFICIO.

Och, moja królewno!

To źle bardzo doprawdy, wzięłaś się do dzieła.
Bo mama dała słowo i tak się zawzięła,
Że cię w domu już trzymać nie chce ani chwili.
A teraz i ojczulek łatwo się przychyli,
Gdy się dowie, jak pięknie sobie postępujesz,
I sama się nie ucząc, na innych spiskujesz.

ZOSIA.

Mój Boże, moja mama gdy się o tem dowie,
Żem Jankowi psociła, co mi za to powie?
I tak już na mnie ciągle srodze zagniewana
Nie pogłaszcze wieczorem, nie popieści z rana.
Ach Jasieńku, braciszku, mój dobry, jedyny,
Nie mów nic o tem mamie...

JANEK (*napuszenie*).

Kiedy się do winy
Przyznajesz tak z pokorą, chętnie ci wybaczam...

ZOSIA (*ścisnąc go*).

Ja wiedziałam żeś dobry, kochany Jasiuniu.

STEFICIO.

Lecz teraz między nami rachunek siostruniu,
Ja swego nie przebaczę tak łatwo, poczekaj!

(*zatrzymuje Józię chcącą odejść*).

Poczekaj moja miła, usiądź, nie uciekaj.
Tyś każdemu z nas w domu dobrze już dojadła.
Cieszę się, że mi w ręce taka gratka wpadła,
I że ci się wybornie przysłużę u mamy.

MANIA (*zatrzymując go*).

Stefciu, czyż się to godzi?

JANEK.

Tego ci nie damy

Uczynić, mój koleżko zemsta to rzecz niska.
Patrz na Józię wszak ona jest już płaczu bliska.

STEFICIO.

A niech sobie! Co mi tam! Niechaj się wybeczy,
To ją może z próżniactwa i psoty uleczy.

JÓZIA.

Wiem o tem, że Stefciovi nieraz dokuczyłam,
I przyznaję, nie zawsze chętnie się uczyłam,
Ale po co też do mnie on się ciągle wtrąca?

STEFICIO.

A czemu też to Józia wciąż spokój zamąca?
Nietylko u nas w domu, ale ot i Zosię
Podburzyła do złego! Pójdzie im po nosie,
Gdy rodzice je obie na pensyą wpakują,
I nie wezmą do domu aż się ustatkują.

MANIA.

Mój Boże, tak straszycie tą pensyą bez miary.
Jak dzieci wielkim smokiem, co to ciągle kary
Rzuca zaraz na wszystkich, co się doń przysuwa.
I jak widzę ta pensya życie wam zatruwa.
A ja takbym pragnęła na pensyi pozostać!

ZOSIA.

Jakto, Maniu, na pensyi? Chciałabyś się rozstać
Z rodzicami twojemi, porzucić rodzeństwo?
Więc pensya ma u ciebie przed nimi pierwszeństwo?

MANIA.

Nie rozumiesz mnie, Zosiu. Kocham ich nad wyraz,
Lecz gdy widzę jak mama martwi się tem nieraz
Że nie może mnie kształcić, tak jakoby chciała,

Bo tam gdzie ojciec jedzie to miescina mala,
A na nauczycielkę funduszu nie stanie;
Więc jeżeli rozważysz, pojdziesz to kochanie,
Że wam pensyi zazdroścę, i' dziwie potrosze...

ZOSIA.

Że się pensyi boję?

JÓZIA.

Albo ja? No proszę!

MANIA.

Tak, obu wam kochane, bo jabym tak chciała
Uczyć się coś więcej...

STEFICIO.

A tu sprawa cała
Że te obie panienki próżnowałyby chciały.

ZOSIA.

Nie próżnować. Lecz zawsze to kłopot nie mały
Z tem zdaniem egzaminu.

ZOSIA.

Nie wspominaj o tem,
Bo ja chyba już uschnę z tym całym kłopotem.

MANIA.

Cóż za kłopot kochane, co was tu przeraża?

ZOSIA.

Co... co... alboż ty nie wiesz? mama mi zagraża,
Że jeżeli się przez rok nie poprawię szczerze,
To mnie odda na zawsze, wcale nie odbierze
Chyba za kilka latek, gdy ujrzy poprawę.

STEFICIO.

Piękną ci urządziła Józeczka zabawę,
Co lata całe za nią będziesz pokutować.

JÓZIA.

Mój Stefciu, ja cię proszę, przestań już żartować.
Wam wesoło, bo każdy odbiera pochwały,
My musimy zmarnować na pensyi wiek cały.

MANIA.

Jakto Józiu zmarnować, czyż pójdzie na marne
Czas spędzony w nauce?

JÓZIA.

Ja się tam nie garnę

Tak bardzo do nauki, ciekawam co po niej?
Z tem co umiem, żyć można.

STEFICIO.

Nikt jęj nie nakłoni
Do dobrego, jak widzę. Bardzo mi to smutno!
A gdy jeszcze ja pójde, małą mówkę utnę
I opowiem rodzicom, rzecz będzie skończona,
Bo wnet moja siostrzyczka, tem upokorzona
Inną śpiewkę rozpocznie!

JANEK.

Skończcie już raz proszę.
Nie kłóćcie się, pogódźcie, bo ja się wynoszę,
Mam tak pilną robotę.

ZOSIA (prosząc).

Braciszku mój drogi
Ty jesteś taki dobry, nim przestąpisz progi,
Przyrzecz mi...

JANEK (z niecierpliwością).

Wszak przyrzekłem, że mamie nie wspomnę
O podartych kajetach...

ZOSIA (przerywając).

Ja sama przypomnę,
I mamie się z swęj winy szczerze wypowiadam.

Lecz poproś...

(wskazuje oczami na Marynię i szepce mu pocichu do ucha).

JANEK (ściskając ją).

Przewybornie! sam na myśl tę wpadam.
(wybiega).

SCENA II.

(poprzedzający, oprócz Janka)

JÓZIA (przestraszona).

Zosiu, gdzie Janek pobiegł? czy poszedł powiedzieć?
Ach mój Boże!

STEFICIO (siadając przy stoliku).

Nie można spokojnie usiedzieć
Gdy się zbroi co złego, tak to zawsze bywa.

JÓZIA (skłopotana).

Ach mój Boże, że też mi zawsze ktoś przerywa.
Maryniu moja droga ratuj mię, kochanie,
Bo gdy się mama dowie, nie wiem co się stanie!
Ja widzę sama teraz, że źle nabroiła,
Ale przecieżem Stefcia raz już przeprosiła.

STEFICIO (wyciągając się na krześle z powagą).

Przeprosić, to nie dosyć, lecz trzeba poprawy:
Porzucić płocze figle, szkodliwe zabawy
I szczerze, bardzo szczerze wziąć się do nauki.

JÓZIA.

Ach, zawsze z tą nauką, wszyscy jakby kruki,
Ciągłe na mnie krakacie, i cóż mi dziś z tego,
Gdy się mama od Janka dowie już wszystkiego,
To mnie odda na pensyą, i nic nie przebaczy. (płacze).

MARYNIA.

Alę moja jedyna, gdy mama zobaczy
Że żałujesz swęj winy, gdy poprosisz szczerze...

ZOSIA (przerywając).

Gdy ujrzą, że każda z nas do nauk się bierze,
To nam może przebaczą.

STEFICIO (śmiejąc się).

Lecz pensya nie minie,
Jak się która dostanie, już na wieki zginie!

JÓZIA.

Nie zginie, ja wiem o tem, ale wstyd nielada,
Kiedy się nic nie umie, a egzamin składa.

ZOSIA.

Ach, moja droga Józiu i mnie to zastrasza,
Lecz przyznaj się nareszcie, że w tem winna nasza.

JÓZIA (z niecierpliwością).

A tak, tak, no to i cóż? wystąpże z kazaniem.

STEFICIO.

To uparciuch dopiero!

MARYNIA.

Teraz mojem zdaniem,
Kochane przyjaciółki, przestańcie wymówek,
Zwady, kłótni, przycinków, uszczypliwych słówek,
A wzięwszy się do pracy rażno a ochoczo
Nagrodzicie stracone.

JÓZIA.

To nam znów wytoczą
Wszystkie figle i psoty, więc cóż to pomoże?

MARYNIA.

Pomoże nawet bardzo, bo ja się załóżę,
Że rodzice, gdy ujrzą waszę pilność szczerą,
Choć na pensyą oddadzą, na święta zabiorą.

JÓZIA.

Ale tak, a egzamin? toż to wstyd nie lada,
Nic nie umieć...

ZOSIA.

Przy tylu osobach się składa,
Że ja spłonę ze wstydu.

MARYNIA.

Pozwólcie, kochane,
Poproszę tylko mamy, a codzień zostanę
Godzin parę tu z wami, a jak się weźmiemy,
To wszystko najwyborniej sobie przypomniemy.
O zwłokę tylko chodzi, choćby dni dziesiątek,
Zobaczycie, że tylko trudny jest początek
Lecz potem wszystko łatwo pójdzie wam jak z płatka.

ZOSIA.

Mówisz Maniu, jak z książki, lecz czy twoja matka
Tak długo tu zostanie...

MARYNIA (*zamyślając się smutnie*).

Prawda, zapomniałam,
Że wkrótce wyjeżdżamy; i znowu zaczynam
Snuć piękne me projekta.

JÓZIA.

Jakżeś ty szczególna!
Ty tak wzdychasz, jak gdyby ta nauka wspólna
Była szczęściem, albo też tak arcyprzyjemna.

STEFICIO (*który przegląda pilnie kajeta*).

Nie, doprawdy (*uderzając w stół*) ta Józia to jest chyba
[ciemna!

Wszyscy w okół jęj ciągle wciąż to powtarzają
Że głupcy ci, co wcale nauki nie znają,
A ta się jeszcze dziwi że Marynia pragnie
Uczyć się i pracować (*kiwając ręką*). Ciebie nikt nie
[nagnie!

(*siada znów przy stoliku i z oburzeniem podpięra głowę ręką*).

GRA NA ŚWIEŻEM POWIETRZU.

Janie, gdzie jesteś?

Gromadka bawiących się chłopców tworzy duże koło, trzymając się za ręce. Dwóch z pomiędzy nich, z zawiązanymi oczyma, wchodzi do środka, jeden przedstawia rozniewanego wiejskiego gospodarza, drugi uciekającego przed nim, nieposłusznego parobka Jana. Gospodarz trzyma w prawej ręce silnie w węzeł skręconą chustkę od nosa żeby nią ukarać niedobrego Jana, gdy mu się w ręce dostanie.

Oby tylko go złapać! Tymczasem, szukając go, woła co chwila. „Janie, gdzie jesteś?” i stara się po mruczeniu, syczeniu i gwizdaniu parobeczka rozpoznać kierunek, w którym się ten ukrywa. Jan zaś, równie starannie i przezornie, unika spotkania ze swym panem i prześlizguje się ostrożnie do miejsc bezpiecznych t. j. o ile on przeczuć może w przeciwnym kierunku, niż się jego pan znajduje, położonych.

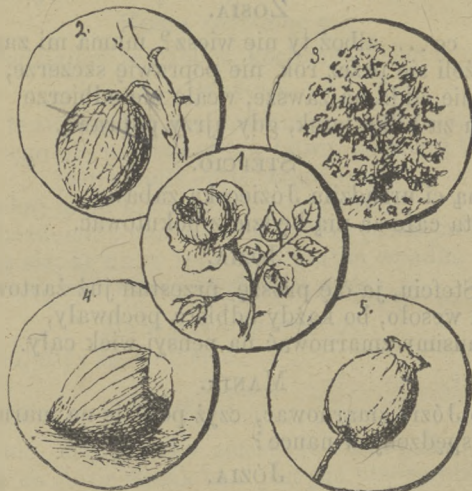
Bardzo to zabawnie wygląda, gdy obaj niewidomi, ci-chutko się prześlizgują, zamiast na siebie, na chłopców tworzących koło wpadają. Gospodarz, który do przygotowanego od tak dawna razu już się zamierzył, cofa się, gorzko zawiedziony w swem oczekiwaniu, a Jan przeciwnie, wyskakuje z drugiej strony, ucieszony niezmiernie, że zamiast na rozniewanego pana, wpadł na ludzi obojętnych, którzy mu nic złego

nie robią. — Ale właśnie w chwili największej radości, gdy najbardziej jest pewnym siebie... raptem wpada w ręce nieprzyjaciela, który go mocno przytrzymuje i wymierza mu pół tuzina razów dobrze skręconą pytką. Wtedy obity daje fant, role rozdają się na nowo, i gra w ten sam sposób ciągnie się dalej. W końcu zaś fanty się sądzą jak zwykle, polecając wykonać to lub owo osobom do których należą.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: ~~Ma~~—~~ko~~—~~o~~—~~ga~~—~~sa~~—~~a~~—~~Ya~~—~~no~~—~~le~~—~~to~~—~~po~~—~~ra~~—~~ga~~—~~le~~—~~wer~~—~~ar~~—~~ko~~—~~ca~~—~~do~~—~~man~~—~~tan~~—~~borg~~—~~czy~~—~~u~~—~~a~~— — ułożyć wyrazy: 1. Człowiek bez energii. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Skroplona mgła. 4. Pó-wysep w Środkowej Ameryce. 5. Przeciwnik Mardocheusza. 6. Ubranie starożytnych. 7. Miasto portowe nad zatoką Botnicką. 8. Stacya w Anglii telegrafu podmorskiego. 9. Miasto na Szląsku. 10. Wygasły już ród ks. Siedmiogrodzkich. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko królowej angielskiej, a końcowe imię i nazwisko jej rywalki.

REBUS.



Z początkowych liter każdego z przedmiotów, wyobrażonych w kwadracikach, ułożyć nazwisko miasta gub.

ROZWIĄZANIA DO N.-ru 27-go.

Szarady: Wy — ko — pa — lis — ka.

Łamigłównki botanicznej:

1. Ubiorok. 2. Rogoże. 3. Biel 4. Azalia. 5. Nawrót.
 6. Okolcz. 7. Wrzos. 8. Skrzypy. 9. Kolender. 10. Anyżek.
- Urbanowska — Krysztalek.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5, — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Foki (z drzew.) — Przed lat tysiącem. — Trąby powietrzne (z drzew.) — Dwie wystawy. — Psotnice, komedyjka w dwóch aktach p. Zuzannę Morawską. — Gra na świeżem powietrzu. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Opowiadanie ciotki Rózi (z drzew.) — Czy praca jest nieszczęściem? — Poranek grzecznego Kazia, wiersz p. Jadwigę Chrzęszczewską. — Pierwsza robota Kazia p. Maryę Weryho. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.

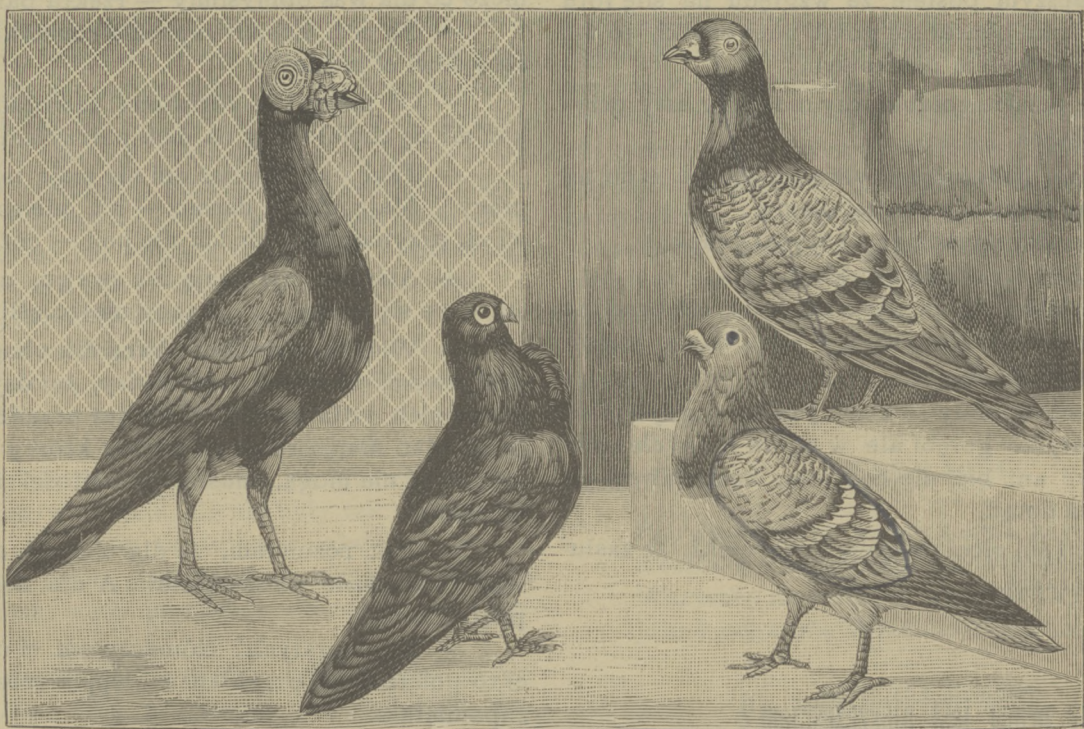
OPOWIADANIE CIOCI RÓZI.

GOŁĘBIE.

- Janku, Maryniu! — wołała ciocia — chodźcie do mego pokoju, pokażę wam obrazek z ładnymi ptaszkami. Dzieci przybiegły natychmiast.
— Co to za ptaszki? — pytał Janek.
— To gołębie — wyjaśniła ciocia.

Jest to gołąb *bagdadzki* albo *perski*, pokryty czarnymi piórami oprócz szyi, na której błyszczą zielone i czerwone piórka. Poniżej stoi mniejszy gołąbek: spojrzcie jak dumnie główkę w dół przechyla jak gdyby pysznił się krawatem z piór, który go odróżnia od towarzyszy. Nazwano go *belgijskim gołębiem*, ponieważ hodują go głównie w Belgii.

— Bardzo mi się podoba ten belgijski gołąb — odezwiała się Mania — a tobie, Janku?



Gołębie.

— Doprawdy? A jednak nasze gołąbki nie podobne do tych, które widzimy na obrazku — mówiła Marynia.

— Przypatrzcie się im dobrze; spojrzcie na nóżki zakończone płaskimi czterema palcami, na spiczaste skrzydła, a przekonacie się, że pod tym względem te cztery ptaszki, które wam pokazałam, zupełnie są do siebie podobne. Gdyby wreszcie rysowane ptaszki głos posiadały, zagruchałyby wszystkie jednakowo, a to gruchanie właściwe jest tylko gołębiom. Lecz sami spostrzeżliście już różnicę między temi gołębiom. Te różnice bądź to w kształcie dzioba, bądź to w upierzeniu, bądź w wielkości, wskazują nam, że na obrazku widzimy cztery odmiany gołębi. Po lewej stronie stoi spory gołąb długonogi; koło oczów widzicie szeroką obrączkę skórną, a przy osadzie dzioba pomarszczony, nabrzmiały wałek skórny.

— Ja wolę tego gołąbka, który stoi naprzeciw niego. Jak go zowią, ciociu Róziu?

— *Gołębiem francuskim*, odznacza się on bardzo krótkim dziobem i nadzwyczaj wąskim ogonem, którego na rycinie nie widzimy, bo go pokrywają skrzydła. Nad nim stoi *gołąb antwerpski*, który bardzo długo bez zmęczenia latać może, a trzeba wam wiedzieć, że w wielu krajach uczą gołębie przenosić listy, im więc prędzej gołąb leci, tem jest zdutniejszy do takiej usługi.

— Jakżeż uczą? — ciekawie spytał Janek. Czy gołąb wiedzieć może, komu list ma przynieść?

— Zaraz ci to, mój Janku, wytłómaczę. Wyobraź sobie, że ja tutaj na wsi hoduję gołębie i następnie zabieram je z sobą do Warszawy; pewnego dnia chcę wam opowiedzieć jaką ciekawą historię, a że jesteście daleko

odemnie, więc ją spisuję na karteczce papieru, którą przywiązuję jednemu z gołąbków pod skrzydło i wypuszczam go na wolność. Otóż, jakkolwiek Warszawę dzieli od naszej wsi całe cztery mile, gołąbek zdoła trafić do niej, kierowany niepojętym dla ludzi instynktem. Wszak jaskółki, bociany, rok rocznie płyną poza morza a następnie umieją trafić napowrót do tych miejsc, w których dawniej przebywały. Tak samo i mój gołąbek, jakkolwiek nie umie pytać o drogę, trafiłby do naszej Wólki.

— A ja zaraz spostrzegłabym ptaszka, dałabym mu dużo białego grochu i wydobyła list od cioci — zaśmiała się Mania.

— Przed tem jednak musiałabym oswoić tak nasze gołębie, aby twój biały groch jadły z ręki — mówiła ciocia. — Podczas wojny, gdy często nie można posyłać listów zwyczajną pocztą, gołębie oddawały wielkie przysługi przynosząc pod skrzydełkiem wiadomości ze stron dalekich. Najlepszym posłem ze względu na siłę lotu i rozwinięty instynkt okazał się gołąb antwerpski, to też zowią go ogólnie gołębiem pocztowym.

— A nasze polskie gołąbki czy mogłyby listy przynosić — spytał Janek.

— Zapewne. Należałoby tylko przyuczyć je do tej posługi, której na teraz nie potrzebujemy.

— A gdy ciocia wyjedzie? — spytał Janek.

— Pisywać do was będę zwykłą pocztą.

— Jednak jakby to przyjemnie było odebrać list przez gołębia — mówił chłopczyk. Wie ciocia, już nigdy straszyć ich nie będę.

— Bardzo chwalebny zamiar, Janku, a gdybyś mi przyrzekł, że nie tylko gołębi ale w ogóle żadnych zwierząt ani straszyć ani bić nie będziesz, kochałabym cię jeszcze więcej niż dotąd.

Janek rzucił się cioci na szyję i przyrzekł, że zasłuży na jej przywiązanie.

Czy praca jest nieszczęściem?

ŻEBRAK.

Zosia siedziała właśnie przy obiedzie z rodzicami i małym braciszkiem, gdy służący przyszedł pani powiedzieć, że przyszedł ubogi. Pani S. bowiem pilnie nakazywała służbie, aby nigdy nie odprawiano bez wsparcia biednego; sama zawsze wychodziła do niego i wspierała stosownie do potrzeby: jednym grosik, drugim odzieniem, dla innych wreszcie radę lub zarobek umiała wynaleść.

— Niech poczeka — rzekła. — Dajcie mu jeść tymczasem.

Po obiedzie wyszła do żebraka — a w chwilę później zawołała:

— Zosiu! Zosiu!

Dziewczynka przybiegła. Na ławce siedział młody jeszcze człowiek, ale kaleka na jedną rękę. Odziany w łachmany, z rozczochranymi długimi włosami, niósł ostrożnie do ust każdą łyżkę stawy; obok niego, na

ziemi, siedziała mała dziewczynka. Dziecko było również nędzne i blade, i smutno, lękliwie patrzyły niebieskie oczęta.

— Okaleczałem tak po ospie, proszę pani — opowiadał biedny — przed pięcioma laty. Z początku tom jeszcze miał z czego żyć: ale tak i przeszło ubogie moje mienie... po roku przedać musiałem mój szewcki warsztat, młodszego chłopaka wzięła siostra, a ja z tą biedą oto już trzeci rok po żebraniu chodzę. Bóg mnie ciężko, ciężko dotknął, pani łaskawa; toż ja rodzinę, znajomych, wioskę naszą rzuciłem. A ciężko, jak się było gospodarzem w swojej choć najętą chacie — prosić teraz codzień o dach na nocleg! A najgorzej to mi to moje dziecko, co się ze mną marnuje: nie zapracuję ja już dla niej nic — nie nauczę ją jej pracować — co z niej wyrośnie, w nędzy, w tułactwie?

— Zostańcie tu przez parę dni, dobry człowieku; może co dla was obmyślimy — rzekła pani S.

— No cóż, Zosiu — zapytała córeczki, gdy wyszły — szczęśliwi ci ludzie?

— O! mamó! — zdziwiona zawołała Zosia. — Płakać mi się chciało gdy na nich patrzyłam!

— Tak? — a przecież oni nie mają tego nieszczęścia, pracy! Mają chleb darmo — nic nie robią — a i zdrowi są, przynajmniej nic ich nie boli — cóż im brak?

— Ależ oni nie mają nic swego, nie mają co jeść, ani w co się odziać... oni tacy nieszczęśliwi!

— Widzisz, dziecko. Praca dla ubogich jest dobrodziejstwem, bo chroni od nędzy, bo daje chleb i życie dla swoich i dla siebie. Tak już urządzono na świecie, że ci tylko mają prawo do życia, którzy pracują. Ci co pracować nie mogą, muszą żyć z litości i są bardzo nieszczęśliwi.

— Tak, rozumiem, że dla ubogich nie móż pracować to straszne nieszczęście! A dla bogatych? — szepnęła Zosia.

— Dla bogatych? tłumaczyłam ci nieraz, ale wolę ci to pokazać na przykładzie: lepiej zrozumiesz i lepiej zapamiętasz.

Mar.

Poranek grzecznego Kazia.

Skoro Kazio się obudzi,
To z ubraniem nie marudzi,
Przeżegna się, przetrze oczy
I z łóżeczka wnet wyskoczy.
Potem zimną wodą myje
Całą buzię, rączki, szyję
Grzebienia się nic nie boi,
Próżnych dąsów też nie stroi
Uczesany gładko, pięknie
Do paciorka wnet uklęknie.
Nie grymasi przy śniadaniu,
Plam nie robi na ubraniu,
Potem spieszy do książeczki.
Naśladujcież go do zlateczki.

Jadwiga Chrzęszczewska.

PIERWSZA ROBOTA KAZIA.

Kazio codzień chodził z mamą na przechadzkę; bardzo to lubił, ale coprawda znudziło go chodzenie zawsze po tych samych ulicach i prosił mamę by zaprowadziła go za miasto. Mama nie mogła tak prędko tego uczynić, bo wszędzie jeszcze było dużo śniegu i błota, niepodobna więc było chodzić tam, gdzie bruku nie było.

Nareszcie nadeszła wiosna, słońce zaczęło przygrzewać, stopiło śnieg i osuszyło ziemię.

Wtedy mama rzekła do Kazia:

— Dziś po śniadaniu udamy się na przechadzkę, pójdziemy za miasto.

Słyszając to Kazio, bardzo się ucieszył, podskoczył z radości, ucałował mamę, zaczął biegać i skakać po po-koju, śpiewał piosenki jakie umiał i niecierpliwie czekał chwili wyjścia. Wolałby nie jeść śniadania byleby tylko czempredziej wyjść z domu; ale sam bez mamy pójść nie mógł, musiał więc cierpliwie wyczekiwać przy stole i tak się zamyślił, że zamiast soli wziął pieprzu na chleb. Nareszcie mama zaczęła się ubierać, a Kazio tak prędko włożył na siebie ubranie jak nigdy i wybiegł na ulicę. Cały był rozpromieniony, oczki mu się świeciły, ciągle się uśmiechał, chciałby wszystkim powiedzieć gdzie idzie, ale z nieznanymi nie wypada rozmawiać. Spostrzegł nareszcie znajomego psa i z daleka do niego zawołał:

— Burku, chodź ze mną, idę za miasto!

Ale pies nie zrozumiał, machnął ogonem i pobiegł dalej. Kazio z mamą szedł długo, minęli aleje, już i bruku nie było. Domki tu były coraz mniejsze, drewniane, a przy nich nie było takich chodników jak w mieście, gdzieś tam tylko leżały kamienie narzucane. Spotykał i tu dzieci jak w mieście, ale nie były tak ubrane jak dzieci miejskie, były one zaniedbane, obdarte, prawie wszystkie bose. Jedne bawiły niemowlęta, drugie zamiętały podwórza, albo pomagały dorosłym nosić ciężary.

— Zatrzymajmy się tu, mamó—rzekł Kazio—przyjrę się co tu robią. Gdy przystanął i rozglądał się, posłyszał śpiew z daleka dochodzący.

— Kto to śpiewa, mamó, chodźmy zobaczyć.

Kazio pobiegł naprzód i ujrzał zdaleka, jak na gan-ku siedziała jakaś staruszka i coś oplatała, a przy niej mała dziewczynka zeszywała jakieś kawałki i związała je na kłębek. Dziewczynka śpiewała i tak była zajęta robotą, iż nie spostrzegła wcale, jak Kazio z mamą swą po-deszli do ganku.

— Dzień dobry wam, babuleńko — powiedziała mama Kazia.

— Dzień dobry — odrzekła staruszka. — A kogóż to nam Bóg przyprowadził?

— Jakaś pani z chłopczykiem — szepnęła jój dzie-wczynka.

— A czy nie widzicie? — zapytała mama Kazia.

— Nie widzę, pani droga, dziesiąty już roczek, jak zaniewidziałam.

— A jakżeż pracujecie? Widzę, że jakiś dywanik wyplatacie — zapytała znowu mama Kazia.

— Jakaż to tam robota moja! Dobrzy ludzie dają

mi sukienne kawałki i Marynia, wnuczka moja, porozci-na je i pozszywa, a ja przeplatam, przebierając palcami.

— Jakto, nie widząc przeplatacie? — zapytał Kazio zdziwiony.

— Mój paniczku — rzekła staruszka — taką robotę każdy na pamięć potrafi zrobić. Cóż to mądrego, ot, mam tu pocięte sukno, biorę pasek z kłębka i przepla-tam: jeden pasek w górę, drugi na dół; jak dojdę do końca, znowu to samo, ot i dywanik pod nogi gotów.

— Czy naprawdę to tak łatwo? A dla kogo robi-cie te dywaniki.

— Dla kogo? — uśmiechnęła się staruszka — dla każdego kto zechce kupić, bo przecież z tego tylko za-robku żyjemy.

— Moja mamusiu, kup mi dywanik — upraszał Kazio.

Mama uczyniła zadość jego prośbie, potem po-rozmawiała jeszcze chwilę ze staruszką i dziewczynką i udała się z synem do domu. Powróciwszy do miesz-kania Kazio chciał się wziąć natychmiast do wyplata-nia podobnego dywaniku.

— Dobrze, synku — rzekła mama — ale z sukna nie potrzebujesz robić dywaników, masz już jeden, spró-buj upleść z papieru. Nacięła mu kartkę, dała paski do przeplatania i Kazio zaczął pracować, powtarzając cią-gle w myśli: jedno w górę, drugie na dół, a jak zapo-mniał, to szedł i przyglądał się dywanikowi. Po skończe-niu roboty przesunął paski, podkleił i miał ładną pata-rafkę. Darował ją babci na imieniny, a ta ucieszyła się bardzo, że jój mały wnuczek już umie pracować.

Marya Weryho.

SZARADA.

Pierwsze jest na wspak nazwa karty jednej,
Reszta w odzieniu kobieciny biednej.
Wszystko na stole, to smaczna jarzyna
Jaka? odgadnie Wiochna z pod Lublina.

NITECZKA ARJADNY

od Sikorki z nad Utraty dla Królowej Wrózek.

Ja	to	dzia	wy	Z si	chłop
kiż	dek	si	wą	go	czy
jak	łab	aż	dwaj	ki	dą
go	do	dą	pod	wio	mi
pa	bro	rę	dą	mo	ni
sa	kę	wio	na	szój	wy

Utworzyć wierszami zwrotkę z poematu sławnego poety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Szarady: Kon — stan — ty — no — pol.

Łamigłówki zgłoskowej:

Grinok. Ara. Labrador. Izop. Częstochowa. Yacht.

Ateny.

Galicya. — Karpaty.

Skrzynka do listów.

Dobre nadesłałeś rozwiązanie „prozy i poezji“ kochany **Bystry koniu**, jak również szarady. Siostrzane uściśnienia posyła ci **Gołąbka** prosząc, abyś ją po imieniu nazywał.

Kazimierz Z. w Pińczowie. Chcąc wskazać żądane pismo francuskie musimy wiedzieć czy ma być dla małych dzieci czy dla starszych panienek.

Przybyła mi nowa siostrzyczka, **Basiulka**, i od niej dzisiejszą korespondencję zaczynam. Należy jej się całus i z przyjemnością dług ten uiszczam, a przy tem i odpowiedź. Tak, mała siostrzyczko, nawet i „małe“ należeć mogą do konkursu, jeżeli się czują na siłach odpowiedzieć na zadanie. Do konkursu robót należą czasem tak małe jeszcze rączki, że z prawdziwym zadziwieniem oglądamy ich roboty. Niech ci się nie zdaje **Kujawianko**, że wymagamy doskonałości. Redakcja zawsze dobrą wolę ceni wyżej nad wszystko, tu szczególnie, gdzie praca rąk waszych przyodziewa ubogie dzieci. Przez lato używać będziecie wakacyj i szyc na konkurs; osoby w Redakcyi pracujące także zażyją nieco wypoczynku i dla tych właśnie powodów proszone jesteście o nie nadsyłanie nowych liścików. Wydrukują się za to wszystkie załęgłości, a razem z nimi i liścik **Detyny**, która z wielką moją radością odezwała się przecie po tak długim milczeniu. Taką samą radość zawdzięczam **Burce sławuckiej**; pamiętaj, moja droga, że mi nigdy korespondencją „nie dokuczysz“ i przyjmij podziękowanie, za dowód pamięci dany **Koloniom Letnim**. Z pism wiecie już zapewne, że **Ojciec Św.** udzielił tej instytucyi błogosławieństwa apostołskiego? **Srebrnej Gondoli** serdecznie także dziękuję za intencją, bo wymienionej kwoty nie było w liście. Dlaczego mi wymawiasz, że ci „zimno i sztywnie“ odpisuję? Nie miałam zamiaru tego czynić i teraz także chciałabym jaknajserdeczniejszymi słowami odezwać się do ciebie, ale wybac: pseudonimu zdradzić nie mogę, bo to się sprzeciwia przyjętem u nas zwyczajom. **Córo L.** nie wiem jak ci podziękować za twoje słowa tak pełne serca i tak szczerą tęsknotą wymowne! Jakie wy wszystkie dobre jesteście dla mnie! **Jaskółka z nad Wilii** pisze do mnie z tak szczerem zaufaniem, że zamiast słowy, uściśkiem tylko podziękuję jej za nie, również jak i **Jagódce z pod Arkadyi** i **Gałązce Wrzосу**, której zlecenie co do „wyściskania wszystkich w Redakcyi“ chętnie wypełnię. Przechodząc do grona „staruszek“ nie zmienisz zapewne pseudonimu, jak to czyni **Libella** (wolałabym *Łalkę*) i **Ciche westchnienie**. Czy to niezaspokojona ciekawość zamieniła ci całą w westchnienie? w takim razie pociesz się, bo „Książeczka Władzia“ niedługo się ukaże, co także ucieszy i **Ciszę Wieczorną**, którą bardzo proszę o szczegóły o jej młodszych krewnych. Wszystkie was pozdrawiam serdecznie na wyjeździe.

Wasza *Gołąbka*.

Droga **Brzydotko z nad Tamizy**. Wiem już z korespondencji **Wieczorów**, że jesteś w Ameryce. Gdzie się uczysz? czy w domu czy w szkole? Ja się uczę w domu, najlepiej lubię: historię powszechną, geografję i arytmetykę. Jaka powieść z **Wieczorów** ci się najlepiej podoba? bo mnie „W dziewiczych lasach Ameryki“ i „Zwalczone uprzedzenie“. Proszę cię, odpisz prędko życzliwiej **Ciszy wieczornej**.

Kochana **Srebrna Roso!** Bardzo mi się podoba twój pseudonym, bo ślicznie wygląda w poranek majowy rosa błyszcząca na trawie i kwiatach. Jak ci na imię? Mnie **Irena**, więc szczegółów dowiesz się o mnie z liściku mojego do **Białej Ostróżki** w Nr. 6. Co ci się najwięcej w **Wieczorach** podoba? mnie zajmuje bardzo „W dziewiczych lasach Ameryki“, chciałabym tak podróżować jak **Lucia** i **Józio** i widzieć tyle ciekawych rzeczy. Niecierpliwie wyglądać będę odpowiedzi twojej, tymczasem przesyłam ci uściśnienie. *Jutrzenka*.

Kochane moje **Słowiczku z nad Łubiany** i **Jaskółko z nad Tykiczu!** Byłam chora, ale bardzo się ucieszyłam waszym liścikiem. Na imię mi **Helcia**, mieszkam w **Kijowie** i uczę się w domu. Bardzo lubię lalki. Z **Wieczorów** podoba mi się wszystko, mam, młodsze rodzeństwo, uczę się chętnie, a najlepiej lubię arytmetykę historję powszechną, geografję i muzykę. **Kulko Śniegowa**, wysyłam cię do korespondencji. *Jaskółka z nad Dniepru*.

Kochana **Gołąbko z nad Wisły!** Wiem kto jesteś, nazywasz się **Helenka**, masz 12 lat. Moje imię odgadłaś. Twoja *Kujawianka*.

Drogie siostrzyczki, **Czarnooka z puszczy**, **Chmurko wiosenna**, **Tęskna Dumko**, **Szumiąca Wodo** i **Błyskawico!** **Czarnooka** milutka! Na imię mi **Marya**, jestem dosyć wesołą blondynką, lubię bardzo korespondować z wami wszystkiemi. **Chmurko!** pseudonym twój śliczny. **Dumko!** dla czego się tak nazywałaś, **Szumiąca wodo!** czy zechcesz korespondować ze mną? **Błyskawico** kochana, z chęcią i nadal pisywać do ciebie będę! **Ściskając** was, proszę odpiszcie koniecznie kochającej *Wróżbiarce szczęścia*.

Kochana **Stokrotko z nad Stochodu** i **Dzieweczko**. Żałuję cię bardzo **Stokroteczko** miła, i ubolewam serdecznie nad stratą, jaką **Bóg** cię dotknął. Donieś mi co o sobie. Napisz do mnie także, **dzieweczko** droga, ja przebywam na **Litwie**, mam lat 9, na imię mi **Maryja**. Przesyłam wam tysiące całusów. *Pliszka z nad Dniepru*.

Dziwną sympatyę czuję do ciebie **V. Cairo**; choć już od lat pięciu jestem czytelniczką **Wieczorów** do ciebie tylko pisuję. Nie zapominaj **Księżniczki Wrzósów** i od czasu do czasu napisz do niej, a zaraz ci odpisze. Cieszę się bardzo, że mieszkasz w **Warszawie**, bardzobym chciała cię spotkać i poznać autorkę tylu pięknych powiastek. Serdeczne pocałunki ci przesyłam. *Księżniczka Wrzósów*.

Drogie moje: **Poranku majowy**, **Niezapominajko z nad Warty**, **Perelko biała**. Dziękuję wam bardzo za liściki. Wcześniej nie mogłam odpowiedzieć, bo jestem na pensyi w **Krakowie** i „**Wieczory**“ tylko na wakacjach czytuję. **Niezapominajko**, donoszę ci, że imię moje jest... **Kasia**. Donieś mi co o sobie. **Biała Perelko** czy chcesz ze mną korespondować? Mieszkam nie w **Warszawie**, ale w **Ks. pozn.** Jestem jak i ty już sędziwą staruszką, żywą a często nawet... roztrzępaną. Odpiszcie mi jak najprędzej. **Balladyno**, ucieszyłam się twym liścikiem. Donieś mi, gdzie mieszkasz, co porabiasz i t. d. O mnie dowiesz się dużo szczegółów z listu do **Białej Perelki**. I mnie również zaciekawiają bardzo listy z **Atlanty**. **Lilianno** i **Cezaryno**, dlaczego mi nie odpisałyście? Czy jesteście siostrami? Odpiszcie nieznanej wam *Filaretce*.

Miluchna Dziewojo! Winszuję ci nagrody konkursowej. Donieś mi co o sobie, bo jeszcze ani razu żadnego liściku nie otrzymałam. Całuję cię milion razy, prosząc byś nie zapominała o życzliwej ci *Sosnowej Igielce*.

P. S. **Biedronce Warszawskiej**, **Szaremu Wróblowi**, **Wróżbiarce szczęścia**, **Szczebiotce**, **Kujawiance**, przesyłam pozdrowienia i tysiące całusów.

Kochana **Biała Koteczko!** Donieś pod jakim pseudonimem pisujesz do **Wieczorów**. Wiem, że nazywasz się **Janinka Wik...** Mnie na imię **Lola**, a mojej siostrze **Zosia**. Cztery lata temu widziałam mnie w **Chorostku**. Przypomnij więc sobie, kto jestem i odpisz mi prędko. Jak ci na imię, miła **Brzydotko z nad Tamizy**? Twój pobyt w Ameryce zachęca mnie do korespondencji z tobą, gdyż i ja chciałabym **Atlanty** i **Nowy-York** zobaczyć. Dotąd widziałam tylko morze **Czarne** w **Odessie**. Płynęłam nawet statkiem do **Akermanu**. Wysyłam wam, moje drogie, serdeczne uściśnienia i proszę, nie zapominajcie o **Pokrzywie Wołyńskiej z nad Horynki**.